

Numerologia niewiele mówi na temat liczby 45

ale ja wiem dokładnie, co liczba ta oznacza

choć, kiedy od czasu do czasu staram się uszeregować ciągi cyfr prowadzące do niej (tej wymienionej), zdarza się, że mam z tym problemy

niemniej są przedziały liczb (oczywiście chodzi o wielkości mniejsze od 45), które dokładnie potrafię prześledzić

najbardziej jednak intrygujące jest to, że tym małym liczbom można precyzyjnie przyporządkować inne liczby, większe

na przykład liczbie 14 liczbę 1974, liczbie 22 liczbę 1982, a liczbie 44 liczbę 2004

ostatnia liczba (ta mniejsza) zapewne niektórym wydała się znajoma

ale – mogę wszystkich uspokoić – nie chodzi tu o reminiscencje mickiewiczowskie

tym razem sprawa jest najzupełniej prywatna

wiek 44 lata, rok 2004, październik, miasto Wrocław

budynek liceum ogólnokształcącego; numer nieistotny, numeru nie podam

istotną zaś informacją jest to, że szkoła obchodzi trzydziestolecie swojego istnienia

od liczby 2004 odejmiemy 30 i otrzymamy liczbę 1974, a liczba ta odpowiada (jak już wcześniej napisałem) liczbie 14

nie trudno się domyślić, że pierwsza liczba oznacza rok, a druga związany z nim mój wiek, wiek w którym rozpocząłem naukę w liceum numer... numer nieistotny, numeru nie podam

dzisiaj (trzydzieści lat później) błąkałem się po korytarzach, klatkach schodowych i klasach, które przez ten czas niewiele się zmieniły

zniknęły jednak ze ścian portrety dawnych autorytetów młodzieży: Janka Krasickiego i Hanki Sawickiej, ale – o dziwo – nie pojawiły się w ich miejsce nowe wizerunki: Kornela Morawieckiego i Anny Walentynowicz

oczywiście nie zaprzątałem sobie tym głowy, tylko szukałem wśród tłumu podstarzałej młodzieży znajomych twarzy

i spotykałem kolegów i koleżanki, ale z innych klas niż moja

niektórych rozpoznawałem z trudem, wyluskując oblicza ukryte pod pajęczyną zmarszczek, pod maskującymi wąsami i brodami, pod zmienionymi fryzurami, ale ciągle tych najbliższych sercu twarzy nie było

oczywiście zdecydowanie więcej przyszło późniejszych roczników, a zatem ludzi młodych, a nawet bardzo młodych

cóż, kiedy wśród nich nie dostrzegałem nikogo znajomego, a przede wszystkim nikogo z tych, których zamierzałem spotkać

tymczasem rozpoczęła się część oficjalna i zaczęto wymieniać nazwiska uczniów, którzy (w mniemaniu jakiegoś nieznanego ciała orzekającego) zrobili życiowe kariery, rozslawiając tym samym mury szkoły, która – jakoby – ich ukształtowała

nie było wśród tego świetnego grona nikogo z mojej klasy, a nawet z mojego rocznika, z wyjątkiem jednej tylko osoby, która (według odczytanych słów) zrobiła karierę międzynarodową

trochę mnie to zdziwiło, ponieważ – o ile pamiętałem – działalność ta polegała na handlu ciuchami, które ów zawsze elegancki osobnik sprowadzał z zagranicy, a dokładniej z Niemiec, gdzie miałem go okazję kiedyś spotkać pewnej brudnej jesieni na frankfurckim Flohmarkcie

poza tym wymieniano nazwiska, które mi się z niczym nie kojarzyły

dopiero część artystyczna – przygotowana przez obecnych uczniów liceum, którzy doskonale bawili się na scenie, parodiując zapewne swoich nauczycieli, czego my, goście, mogliśmy się jedynie domyślić – rozładowała nieco sztywną atmosferę, a już zadeklamowanie przez jedną z uczennic mojego wiersza (jedyne jaki napisałem) mającego na celu uczczenie przyznania przed laty szkole sztandaru, wywołało mój wielki entuzjizm, który osłabł jednak w chwili, kiedy podano jako autora kogoś zupełnie innego

ale jakże miałbym wymagać od organizatorów dokładności w tej materii; w końcu wiersz powstał prawie trzydzieści lat temu, a zatem w czasie, kiedy nie miałem pojęcia o istnieniu praw autorskich

wieczorem w jednym z ładniejszych lokali w mieście odbywał się bal, na który poszedłem z nadzieją spotkania wreszcie kogoś z mojej klasy, ale i tym razem się zawiodłem

uciekając przed natarczywością pewnej nauczycielki, której waga od czasu mojej matury zwiększyła się przynajmniej dwukrotnie, wpadłem w objęcia przystojnej blondynki, która – ponieważ pozostawiła w domu trójkę dzieci i ukochaną teściową, nie mówiąc już o mężu – starała się z całych sił wykorzystać okazję do odreagowania codzienności, co czyniła, pijąc ponad miarę, tańcząc ponad miarę, a następnie, już nad ranem, przerabiając (wraz ze mną) wszystkie bardziej znane pozycje z Kamasutry, kilkakrotnie urozmaicane czynnością odbierania telefonu komórkowego, w którym odzywał się za każdym razem donośny głos jej zatroskanego męża



na szczęście bateria telefonu się wyładowała i mogliśmy wreszcie spokojnie zwieńczyć ten miły poranek, wybierając na zakończenie jak najbardziej tradycyjną konfigurację seksualną

Krystyna – tak miała na imię moja kochanka – zostawiła mi wszystkie możliwe namiary i raz jeszcze podkreśliła, iż maturę zdawała w roku 1990, co tłumaczyłoby zaskakujący dla mnie początkowo fakt, że mieliśmy tego samego wychowawcę

$1978 + 3 \times 4 = 1990$

i już zaraz zbiegała po schodach, z nadzieją, że trójka dzieci, mąż i ukochana teściowa jakoś sobie bez niej w ten poranek poradzi

wracając do naszego wychowawcy, to oczywiście pracował nadal w szkole, choć niezmiennie od lat obiecywał, że jak tylko doprowadzi do matury kolejny rocznik – przestanie być już nauczycielem, ale pozostawał i – co nie ulegało wątpliwości – z czasem stał się po dyrektorze (twórcy świetności liceum) najważniejszą w szkole postacią

poznał mnie z trudem i wiele musiałem włożyć wysiłku w to, aby przypomnieć mu naszą klasę, ponieważ odniosłem wrażenie, iż uważał, że był nie naszym wychowawcą, lecz klasy równoległej, do której uczęszczał ów kontrowersyjny, wymieniony na akademii osobnik

zawsze miałem przekonanie, że to, co pierwsze, pamięta się najlepiej; do tego zaliczyłbym pierwszą miłość i... pierwszą klasę, której wychowawcą się było

w końcu doszedłem do wniosku, że musiał istnieć jakiś ważny powód, dla którego ów nauczyciel wymazał nas z pamięci, a potwierdzeniem tego przypuszczenia był fakt, iż absolwenci kolejnych doprowadzonych do matury roczników pozostawali z nim w wielkiej zażyłości

jego przyjacielski stosunek do Krystyny był tego najlepszym przykładem, ale to właśnie dzięki niemu (przyjacielskiemu stosunkowi) mogłem ją poznać

więc mimo wszystko zasłużył ten niewdzięczny wychowawca na moją wdzięczność, stał się bowiem nieświadomym pośrednikiem między mną a parą imponujących piersi Krystyny, które – mimo iż wykarmiła nimi trójkę dzieci i prawdopodobnie z powodzeniem zaspokoila manualne ambicje swojego męża – były nad wyraz piękne i – co mnie niesłychanie ekscytowało – czułe na najdelikatniejszy nawet dotyk

natomiast wracając do owego może niezbyt fortunnego porównania pierwszej miłości z pierwszą pracą, będzie zapewne stosowne o mojej pierwszej miłości (nie namiętności – to akurat jest inna historia) powiedzieć, która to (miłość) zamieniła się w moim przypadku w małżeństwo

i cóż za zbieżność!

ostatni raz widziałem swoją małżonkę (byłą małżonkę) w maju 1990 roku, a zatem w czasie, kiedy Krystyna zdawała maturę, i – to pamiętam doskonale – kwitły wtedy kasztany, co jest przysłowiowo związane z czasem zarezerwowanym dla matur; nie da się jednak ukryć, że w roku 1978, kiedy to ja stanąłem do boju o świadectwo dojrzałości, kwitnących kasztanów nie dostrzegłem, choć niewątpliwie w ich cieniu skradłem kilka namiętnych pocałunków swojej późniejszej żonie, która – cóż za zbieżność – chodziła do tej samej klasy ogólniaka, co ja

nie omieszkałem o tym wspomnieć Krystynie i... spotkałem się ze zrozumieniem, ponieważ i ona uległa fascynacji kolegą z ławki, czego efektem było małżeństwo, urodzenie trójki dzieci i zaistnienie ukochanej teściowej, które to fakty uniemożliwiły jej w późniejszym czasie – kiedy zadała sobie sprawę, że życie ma w zanadru jeszcze kilka innych przyjemności – podjęcie decyzji o rozwodzie

ja nie miałem podobnych przeszkód i – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – stałem się pewnego dnia roku 1985 człowiekiem wolnym, co zaowocowało tym, że przy najbliższej nadarzającej się okazji spakowałem manatki i wyjechałem z naszego kraju, który – od momentu podjęcia decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego (dla młodszych czytelników podam datę: 13 grudnia 1981) – nie był najprzytulniejszym miejscem na ziemi

ale skoro o małżonkach mowa, może stosowne będzie wspomnieć, że – zanim Krystyna wyszła z mojego mieszkania – zaproponowała, abyśmy wspólnie odwiedzili moją ekszonę, co było jej reakcją na dociekania związane z nieobecnością całej klasy na trzydziestoleciu szkoły, a w szczególności nieobecnością mojej byłej żony, na którą to obecność bardzo liczyłem

oczywiście umówiliśmy się u mnie, co niezbitnie wskazywało na to, że dobry jest każdy pretekst, aby wskoczyć do łóżka, nawet jeżeli tym pretekstem ma być była małżonka, z którą przecież również dzieliłem swego czasu łożę

zanim jednak dzień ponownego spotkania nastąpił, był inny dzień, który postanowiłem wykorzystać na spotkanie z kolegą z klasy, który z pewnych względów nie mógł się żadną miarą zjawić na trzydziestoleciu, był więc usprawiedliwiony, a jego miejsce zamieszkania – tu nie miałem najmniejszych wątpliwości – było takie samo od 27 lat

wyprawę tę połączyłem z pewnymi obserwacjami, które prowadziłem już od momentu powrotu z zagranicy, a dotyczyły one porównywania miejsc, które pamiętałem z okresu przed moim wyjazdem w 1985 roku a powrotem w roku 2004, nie mogłem bowiem brać pod uwagę moich krótkotrwałych wizyt w międzyczasie, które w całości zajęte były porządkowaniem spraw urzędowych narastających do rozmiarów niebotycznych podczas mojej nieobecności w kraju

zwracałem więc uwagę na chodniki, krawężniki, odnowione fasady kamienic i – od czasu do czasu – ludzi, którzy wydawali mi się podobni do kogoś, kogo kiedyś znałem, ale – ze względu na znikome różnice, jakie zaszły w ich wyglądzie – nie mogli być tymi samymi osobami, ponieważ każdy powinien mieć teraz przynajmniej dwadzieścia lat więcej

na sklepy – rzecz jasna – nie zwracałem uwagi, ponieważ dosadność porównania ich zawartości z lat 80. z asortymentem, jaki serwowały dzisiaj, byłoby czystą perwersją, tym bardziej, że prawie nie różniła się (owa zawartość) od tego, co serwują handlowcy w całej zachodniej Europie, która przez ostatnie 19 lat ludziła mnie pozorem domu

kiedy przed moimi oczami pojawiła się potężna bryła dworca kolejowego, pojawiła się również nadzieja, że jego wnętrze będzie tak samo pięknie odnowione jak fasada, która z szaroburej zmieniła się w żółciutką niczym kurczątko, a i plac przed dworcem zamiast kociołkowej kostki ułożony był z wszechobecnych w nowej rzeczywistości zgrabnie zazębiających się kostek betonowych

nadzieja zgasła, kiedy wszedłem do środka, bo – pomimo usytuowania tu i ówdzie budek serwujących podśmierdujące sympatycznie kebaby – wszystko było po staremu, jak i po staremu wyglądał podmiejski pociąg, będąc równie brudnym, a może nawet brudniejszym pociągiem niż dawniej, a wchodzące w jego skład wagony były wagonami antykami, a ściślej mówiąc, wagonami o 26 lat starszymi od tych, którymi jeździłem w czasach szkolnych, aby odwiedzić Ryszarda, który jako jedyny z klasowych kolegów mieszkał poza Wrocławiem, w historycznym mieście Oleśnicy

sceneria widoczna zza okien pociągu była wyrazem daleko posuniętej degeneracji, przerażając miejscami widokiem, jaki zapamiętałem z oglądanych w dzieciństwie licznych filmów wojennych, szczególnie tych, które się rozgrywały na gruzach Berlina zdobywanych przez dzielnych radzieckich żołnierzy, członków zwycięskiej armii nowego typu

stacja Oleśnica Rataje również uległa podobnej degeneracji, zaświadczać jakoby o niepotrzebności transportu kolejowego w nowych czasach, które stawiały na motoryzację, a więc na coś, co zasmradzało nam i tak już dobrze zatrute powietrze

sądziłem, że trudniej będzie mi dotrzeć do miejsca, gdzie spodziewałem się znaleźć Ryszarda, ale tutaj nie zmieniło się prawie nic od roku 1978, a więc roku, kiedy ostatni raz go odwiedziłem

naturalnie, obszar zabudowy powiększył się, co sprawiło, że w pierwszej chwili poczułem się nieco zagubiony, ale już zaraz stanąłem przed grobem, na którym obok imienia Ryszard widniało również nazwisko i data śmierci, czyli 4 czerwca 1978 roku

zbieżność tej daty z dniem, w którym skończył się bal maturalny (skończył się nad ranem) nie jest przypadkowa





grób był zaniedbany, ale w jednym miejscu, pomiędzy zeschniętymi gałęziami, które zapewne kiedyś stanowiły coś w rodzaju wieńca, a może wymyślonej wiązanki, leżał świeży kwiat, który – najprawdopodobniej – położył jakiś harcerz, ponieważ zawsze było w zwyczaju, że harcerze porządkują zapomniane groby, a przynajmniej zapalają na nich światełka, ale oprócz kwiatka leżało tam jeszcze coś, co żadną miarą nie mogło być położone przez skauta, bo nie pasowało do powagi miejsca wiecznego spoczynku

mały pluszowy miś, dziecięca zabawka, wciśnięty był między pustą doniczkę i wypalony zapewne już kilka lat temu znicz

obraz ten zachowałem w sobie aż do następnego dnia, a dokładniej do momentu kiedy zabrzmiał dzwonek

za drzwiami stała Krystyna; pachnąca, uśmiechnięta, świeża i powabna

bez słowa pognaliśmy do sypialni i w milczeniu zaczęliśmy spełniać obrządek próżności erotycznej, ale starczyło również czasu na to, aby usiąść przy kawie i nacieszyć się patrzeniem na siebie, a w takiej komitywie, która komitywą przez pościel, miło się na siebie patrzy, chociaż – kiedy zaproponowałem drugą kawę – Krystyna odmówiła, tłumacząc, że jeżeli chcemy dotrzeć do mojej byłej żony, zanim pójdzie spać, należy natychmiast wyruszyć

znaleźliśmy się niebawem w małodrożowym samochodzie teściowej Krystyny, w którym patrzyła na nas dziecina niesiona przez świętego Krzysztofa – patrona kierowców, i pod tym bacznym spojrzeniem przejechaliśmy całe miasto, by zatrzymać się pod długiśnym budynkiem z lat 60., gdzie spędziłem kilka nieprawdopodobnych lat, które w pewnym wypadku mogłyby wystarczyć za całe życie

co ciekawe, tutaj, jak w scenerii mojej wczorajszej wyprawy, czas również się zatrzymał, cóż bowiem może zmienić się w miejscu, które na trwałe wyposażono w ogromne betonowe bloki, dyktując tym samym, jakie otoczenie tych kolosów będzie

tym razem to nie daty, ale numer bramy i numer mieszkania, cóż że znane mi doskonale, skoro dzwonienie domofonem niewielki przyniosło rezultat, bo w głośniku tylko pies wściekający się odzywał

z pomocą przyszedł lokator z parteru, którego dokładnie pamiętałem, ale on – najwyraźniej – mnie nie pamiętał, choć przecież przed laty, w 1982 roku zajął piwnicę przynależną mieszkaniu o numerze 84, a z piwnicą węgierski autosyfon i maszynę dziewiarską overlock, przez poprzednią lokatorkę pozostawione

pamięć sąsiada z parteru nie działała, ale działała widna, która na dziesiąte piętro mnie i Krystynę zawiozła, a w windzie kradliśmy sobie pocałunki i uściski; coś mi to przypomniało, ale mętnie, mętnie...

a na dziesiątym piętrze czas zatrzymał się w tym miejscu, kiedy to ostatni raz drzwi mieszkania numer 84 zatrzasnąłem, obarczony skarbem wielkim, czyli magnetofonem szpulowym aria, który miałem na plecach (w plecaku), rzeczą ostatnią, którą zabrałem ze wspólnego gospodarstwa, rzeczą, która w 1997 roku odpłynęła wraz z wyposażeniem piwnicy rodziców z wielką wodą, jaką powódź wrocławska była, powódź tysiąclecia

ale zanim się wyprowadziłem z magnetofonem na plecach, kilka lat tu mieszkałem, kilka grudniów tu przeżyłem, które zawsze nastęrczały sporo trudności w związku z koniecznością zaspokojenia potrzeb obu rodzin (rodziców i teściów), co do spędzania z nimi Wigilii, to tu to tam, a czasem tu, a potem tam; zawsze wywoływało to napięcia i zakończyło okres dzieciństwa, czyli czas szczęśliwych świąt

„ding-dong” – odezwał się mechaniczny dzwonek, w który wyposażone niegdyś były wszystkie mieszkania w blokach z wielkiej płyty; cóż za dźwięk, dźwięk czas cofający można dzwonić, dzwonić i dzwonić, i... nic

Krysia bawi się dzwonkiem, bo takowego nie zaznała, ale te drzwi (do których dzwoni) się nie otwierają, a otwierają się inne, te naprzeciw, i staje w nich sąsiadka, którą dobrze pamiętam, ale – to trochę dziwne – ona nadal ma swoje 35 lat, a ja już jej wiek dawno przekroczyłem, i nie dość na tym, bo na sobie ma tę samą sukienkę, jaką zawsze za mojego pobytu tutaj nosiła

ale to nie ona, tylko jej córka, a mama umarła na nerwy, bo naprzeciw mieszkało pewne małżeństwo, które orgie urządzało i spać mama nie mogła, więc w zakładzie zamkniętym wylądowała i umarła w końcu

na szczęście uciążliwi sąsiedzi rozwiedli się i wyprowadzili, ale od czasu do czasu właścicielka zagłada, aby posprzątać i na wypadek, gdyby ktoś pytał, adres zostawiła z adresem w rękę już do windy zmierzałem, gdy Krystyna (coś nie dawało jej spokoju) raz jeszcze do drzwi z dzwonkiem podeszła, ale nie zadzwoniła, tylko klamkę nacisnęła i... drzwi się otworzyły

Bonnie and Clyde weszli do środka, a ciemność mikroskopijnego socjalistycznego korytarza sprawiła, że nagle wszystko stało się możliwe, również i to, że można się przenieść do roku 1985, a więc tego, w którym ostatni raz tutaj byłem

kiedy Krystyna zapaliła światło, ugięły się pode mną nogi, ponieważ nic a nic, nawet wzór tapety, nie zmieniło się w tym wnętrzu od chwili, kiedy z niego wyszedłem z magnetofonem aria na plecach

zaś w dużym pokoju czas nawet się cofnął, bowiem w miejsce nowej szafy, kupionej na rok przed moim odejściem, stała stara szafa, którą niegdyś rozłożyliśmy na części pierwsze, by łatwiej ją wynieść, a w miejsce kolorowego telewizora marki „Rubin” powrócił czarno-biały granit

kanapa, na której zdradzałem swoją małżonkę, okryta była narzutą, którą niegdyś okrywano moje dziecinne łóżeczko, a dywan nosił ślady pozostawione przez niedopalki rozrzucone na imprezach towarzyskich, jakie co tydzień tutaj się odbywały, doprowadzając – jak już się dowiedzieliśmy – sąsiadkę z przeciwka do choroby nerwowej

„skansen” – powiedziała Krystyna

„skansen mojego życia” – uściśliłem

słowo to powiedziałem, patrząc przez szybę samochodu teściowej Krystyny, kiedy mijaliśmy ogromny betonowy bunkier – pozostałość po ostatniej wojnie, dobitnie zaświadcząca, że miasto zasłużyło na miano Fertung Breslau; przynajmniej wiosną roku 1945

dom, w którym mieszkała moja ekszona też był ogromny i nieładny, ale z twierdzą jednak nie miał nic wspólnego

niemniej, ilość policyjnych samochodów, które zgromadziły się na niewielkim parkingu przed wejściem, zdawała się świadczyć, że dom ten znajduje się pod szczególną ochroną

Krystyna zdezorientowana, pełna niepokoju i przypuszczeń, że przed momentem coś tutaj się wydarzyło i jej wspólna ze mną obecność może zostać ujawniona przy ewentualnym legitymowaniu świadków, gotowa już była się wycofać, gdy w bramie domu pojawili się umundurowani policjanci z pogodnymi – co nie częste przecież – obliczami

beztroskie zachowanie stróżów porządku wymazało strachy Krystyny, już zatem po chwili staliśmy przed błyszczącymi z nowości drzwiami windy, wymieniając uwagi na temat klatki schodowej budynku, która przypominała raczej hotelowe wnętrze niż dom mieszkalny; obrazy, donice i brak walających się śmieci

w obliczu drzwi mieszkania odważna dłoń Krystyny (zdecydowanie odważna) odnalazła przycisk dzwonka i uruchomiła w ten sposób jakiś przedziwny mechanizm, który wygenerował krótki fragment muzyczny – o ile mnie słuch nie mylił – kompozycji Jeana-Philippe’a Rameau

na ten sygnał natychmiast otworzyły się drzwi i stanął w nich człowiek w mundurze policjanta

tym razem już nie można było się wycofać, więc wyjaśniłem grzecznie, kim jestem i do kogo przyszedłem

policjant był dobrze zorientowany i najwyraźniej przejęty odwiedzinami, bo już-już unosił dłoń, by zaszalutować (miał czapkę), ale w ostatniej chwili powiedział tylko, że jego żona czeka na mnie od dobrej godziny i poprowadził nas do pokoju

oszołomiony mundurowym teatrem, rozejrzałem się po nowocześnie, a zatem ascetycznie urządzonej wnętrze i zamiast swojej byłej żony zobaczyłem tylko jakąś korpulentną panią ostrzyżoną na ostrego języka z wściekle czerwonych włosów

szukałem więc nadal mojej Ewy, szczupłej, by nie powiedzieć chudej osoby, o delikatnych rysach i sylwetce małej sarenki

tymczasem Krystyna witała się z panią o czerwonych włosach (ciocią Ewy?), zwracając się do niej ku mojemu zdziwieniu „pani Ewo”, tamta zaś mojej kochance odpowiedziała „pani Krystyno”, co oznaczało, że te kobiety się znają

umundurowany mąż przyniósł trzy filiżanki z kawą i trzy talerzyki, na których pobłyskiwały słusne kawałki tortu węgierskiego z (tu nie miałem najmniejszych wątpliwości) „Filipinki”, cukierni znajdującej się na drugim końcu miasta

głos, głos grubej pani o imieniu Ewa był głosem mojej byłej żony

ale ciocia czy, powiedzmy, starsza otyła siostra mogła przecież mieć głos podobny, należało więc przysłuchać się uważnie rozmowie, by z jej sensu wysnuć, kim jest ta czerwonowłosa niewiasta

kobiety rozmawiały o kradzieży torebki należącej do Krystyny, o świadkach, o zeznaniach i o policji...

i policja wyjaśniła wszystko: ta Ewa pracowała na policji, miała męża policjanta (tak elegancko podającego tort węgierski) i mieszkała w domu zbudowanym przez policyjną spółdzielnię

to oczywiście było zaskakujące, tym bardziej zaskakujące, że pozbyłem się właśnie wątpliwości dotyczących tożsamości masywnej kobiety o rudych włosach, dochodząc do wniosku, że jest to jednak moja była żona, choć fach, jaki w tej chwili wykonywała, był bardzo odległy od fachu, do jakiego przygotowały nas wspólne studia inżynierskie na wydziale budownictwa

ale wygląd pasował do policyjności, bo wygląd był wręcz srog i budził respekt

rozmowa nadal krążyła wokół ukradzonej torebki i żeglowała teraz w stronę sprawcy przestępstwa, którym okazał się (cóż za zbieg okoliczności) Piotr – kolega z klasy (mojej i Ewy), który za to i za wiele innych przewinień przebywał obecnie w odosobnieniu, co w sposób kategoryczny tłumaczyło jego nieobecność na trzydziestolecu szkoły

nieszczególnie czułem się, słuchając tych kryminalnych historii opowiadanych, a w zasadzie przepowiadanych, przez kobiety znajdujące się w jakiejś niezrozumiałej komitywie, w której kwiatkiem do kożucha zdawało się być, iż jedną z nich była moja żona, a drugą kochanka, która jeszcze dwie godziny temu wykrzykiwała głosem pokutnicy: „tak, właśnie tak, jeszcze, jeszcze!”

to, że nie zajmowano się mną, wskazywało na fakt, iż w tym domu prawdopodobnie matriarchalne porządki panowały, a potwierdzał to pojawiający się bezszelestnie mąż, który uzupełniał usłużnie zawartość filiżanek, a w pewnym momencie zapytał nawet szeptem, czy niczego nie potrzebuję, bo on musi teraz zająć się porządkowaniem kuchni i nie wyjdzie z niej, dopóki nie skończy zmywania naczyń

mąż wyszedł i jakby na ten znak Ewa zadała pytanie: „dlaczego przez tyle lat nie zaglądałeś, nie pokazywałeś się, a przecież wiem, że bywałeś w Polsce często”

skąd wiedziała, że odwiedzałem kraj ojczysty, skoro czas przyjazdów poświęcałem na bieganie po urzędach, a jeżeli został wolny dzień czy dwa, zwykle natychmiast ruszałem w republikę wolną Tatr, by odciąć się od świata

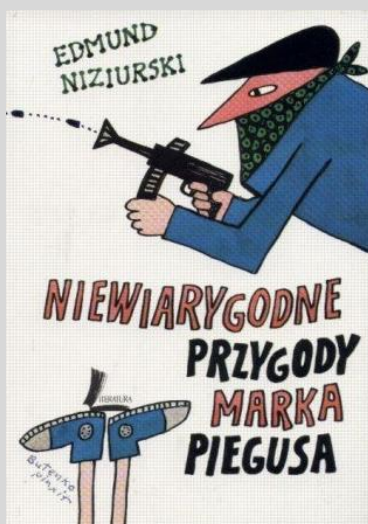
rozmowa powróciła znowu do Piotra, który połączył te kobiety (podobnie jak ja teraz), ale kradzieżą torebki połączył, a nie związkiem intymnym

miałem już dość damskich rozmówek, więc wchodząc w słowo, głośno powiedziałem to, co wcześniej pomyślałem, a mianowicie, że Piotr (z tego co słyszę) jest usprawiedliwiony, jeżeli chodzi o nieobecność na trzydziestolecu szkoły, ale Ewa nie jest

„jak zapewne wiesz – odparła była małżonka (a ja wcale nie wiedziałem) – pracuję na policji i w związku z tym nie dysponuję dowolnie swoim czasem, a już kiedy jest wielka akcja, dla przykładu obława na bandę Alberta Flasza, muszę iść, choćby to było w środku nocy; dlatego mnie nie było”

„Alberta Flasza?” – zapytałem zdziwiony, bo nazwisko to wydało mi się znajome, a nawet nie tylko znajome, ale wręcz znane z kart książki *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*

widząc moje zdziwienie, była połowica wyjaśniła, że to pseudonim owego rzezimieszka, przybrany zapewne na część bohatera dzieciństwa, którym – jak widać – nie był Marek Piegus lecz jego prześladowca, Albert Flasz





ale to mnie już nie interesowało, ponieważ istotniejsze wydawało mi się przywołanie pamięci Piotra, ale Piotra z lat dawnych, kiedy się jeszcze nie stoczył i kiedy to w roku 1976, a może w 1977, razem z Ryszardem, który również jeszcze się nie wyalienował z towarzystwa, piliśmy piwo i marzyliśmy o przyszłości, ale przyszłości wówczas tej zupełnie niedalekiej, bo studenckiej, która wtedy wydawała nam się miarą dorosłości i życia w ogóle

czasy te nadeszły, ale już nie dla Ryszarda, którego ziemską wędrówka skończyła się na cmentarzu w Oleśnicy 4 czerwca 1978 roku, ale i dla nas nieszczęśliwie były (te czasy) podobne do wyobrażeń z roku 1976 czy 1977, ja bowiem zaanektowany zostałem na pięć długich lat przez zwodnicze uczucie do kobiety, która teraz przede mną siedziała, Piotr zaś, mimo iż studiował na AWF-ie, zakosztował w mocnych trunkach, co z pewnością w dużym stopniu utrudniło mu czynne uczestnictwo w kulturze studenckiej

o tym oczywiście jedynie myślałem, głośno stwierdziłem zaś, że rozumiem wszystko doskonale, że nieobecność Ewy na trzydziestolecie jest usprawiedliwiona; w takim jednak razie tylko ona, Ryszard i Piotr mają alibi, a reszta – nie

Krystyna słuchała obojętnie tych wyjaśnień, oddychając równo, ale ta równość oddechu wprawiała jej fantastyczny biust w kołysanie, które sprawiało, że pożądałem jej, a pożądałem (co było rodzajem perwersji) w obliczu byłej żony

widząc mój stan, wstała Ewa i ciało swoje zaprezentowała w całej obfitej okazałości, ciało na wikcie policyjnym wykwitłe, albo na sterydach koniecznych do powiększania masy mięśniowej w policyjnych siłowniach

wstała jednak nie w celu pokazania, jak świetnie wygląda, ale po to, by z biblioteczki (szczuplutkiej; jak to w większości domów) wyjąć książkę, którą mi następnie pod nos podsunęła

autorem dzieła był – co mnie niesłychanie zdziwiło – ktoś o imieniu Krzysztof i nazwisku naszego kolegi z klasy (który też miał imię Krzysztof)

po otwarciu książki na wewnętrznej stronie tylnej okładki ukazało się jednak oblicze znane, choć zakamuflowane nieco brodą – i był to bez wątpienia Krzysztof, nasz kolega z klasy

1998

to rok wydania książki Krzysztofa, o której nie wiedziałem nic, a nawet przecież nie widziałem, że Krzysztof w ogóle cokolwiek pisze; to już raczej ja, jako autor wiersza o sztandarze, uchodziłem za kogoś, kto mógłby ewentualnie zaistnieć jako człowiek pióra

„przeczytaj dokładnie tytuł” – poleciła Ewa takim tonem, jakiego zapewne zwykła używać będąc w mundurze (siedziała znowu na sofie)

tytuł miał w sobie słowo Bóg, a zatem świadczyłby o tym, że nasz Krzysztof doznał olśnienia i – mimo świeckiego wychowania, jakie zafundowała nam edukacja w latach 1974-1978 i działaniu ówczesnych instytucji – dla przykładu TKKŚ, czyli Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej – skręcił do kościoła

„o Tatrach” – wyjaśniła była żona, bo zapewne zauważyła moją głupia minę

„o Tatrach” – powtórzyłem i przeczytałem podtytuł, który sporo w tej sprawie wyjaśniał

„w mojej klasie był poeta, wydał tomik wierszy, ale zaraz potem zginął w wypadku” – dodała beznamiętnie Krystyna

ale ja tego nie słuchałem, zdumiony byłem bowiem faktem, że Krzysztof napisał książkę o górach, o moich górach, o moim azylu z lat wygnania

„masz z nim kontakt?” – zapytałem

„chyba astralny” – odparła Krystyna, sądząc zapewne, że chodzi o jej nieżyjącego poetę

„nie – odpowiedziała Ewa – i nie znam nikogo, kto wie, gdzie dokładnie mieszka, ponieważ zaszył się na wsi czy w lesie i nikt go od dawna nie widział”

i nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej, bo właśnie okazało się, że moja była żona musi zaraz iść spać, ponieważ jutro o świcie ma kolejną akcję łapania Alberta Flaszka czy Wieńczysław Nieszczególnego, i tak dalej

w pośpiechu, bo i Krystynę czas naglił, zostałem uwieziony w noc ciemną pod dom, w którym mieszkała moja kochanka wraz z mężem, trójką dzieci i ukochaną teściową, ale – co mnie mile zaskoczyło – przed wypchnięciem mnie z małowitrazowego auta, posługując się umiejętnościami naprawdę wyjątkowymi, za zasłoną pokrytych wydychaną przez nas parą wodną szyb, oddała mi się najpiękniej jak potrafiła

ale zaraz potem zostałem jednak wypchnięty z samochodu i znalazłem się sam na nocnej ulicy, rozdygotany jeszcze miłosnym spełnieniem, z książką Krzysztofa w ręku i z brakiem odpowiedzi na kilkadziesiąt pytań, których nie zdążyłem zadać swojej byłej żonie